ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 29-go Lipca 1897. Nr. 30.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

XI.

W przeddzień bitwy.

Rufus, naczelny wódz cesarski, starał się według polecenia, które dał mu Maksencyusz, powstrzymywać jak najdłużej pochód Konstantyna na Rzym, aby zyskać na czasie, aż nadciągną legiony z południowych prowincyi. Obawiał się stoczenia otwartej bitwy, ponieważ wojsko jego znacznie upadło na duchu. Jednakże ustępować musiał i po słabej już tylko obronie wąwozów apenińskich musiał cofnąć się drogą flaminijską do Rzymu, zostawiając Florencyą nieprzyjacielowi, który szedł za nim ciągle w trop i ścigał go wytrwale.

Konstantyn zaś nie zostawiał swoim żołnierzom ani chwili spoczynku, alеż ich samych napełniała jakby nadludzka siła i wytrwałość, im bardziej zbliżali się do celu swych nadziei i życzeń. Ich odwagę podniecała radość i uwielbienie, z którеmi przyjmowała ich ludność miast i wsi jako wybawicieli z pod nieznośnego jarzma tyrana. Maksencyusz kazał bowiem z bezwzględną surowością pościągać do Rzymu wszystką ludność zdatną do broni jako też wszystkie zapasy bydła i zboża z okolicy.

W ten sposób udało się Konstantyna przedniej straży dotrzeć na 2 dni przed uroczystem świętem swego przeciwnika aż do wili »pod kurami« po niestrudzonych marszach. Wila ta leżała o $1\frac{1}{2}$ mili od bram miasta. Tu postanowił Konstantyn zatrzymać się, odczekać nadejścia wojsk wszystkich a rankiem następnego dnia, 28. Października właśnie w rocznicę wstąpienia na tron Maksencyusza stoczyć walną bitwę, która miała rozstrzygnąć o panowaniu.

Wila »pod kurami« należała niegdyś, do Liwii, małżonki Augusta cesarza, a nazwę pod kurami (ad gallinas) otrzymała od podania, według którego biała kura, którą był właśnie porwał orzeł spuściła na łono cesarzowej gałązkę wawrzynową.

Gordyan, pogański kapłan, sprawujący ofiary nie zaniedbał zwrócić Konstantynowi uwagi na znaczenie tej okoliczności, mówiąc, że jest to przepowiednią bliskiego zwycięstwa.

Kandydus, który wraz z cesarzem przybył do wili, pragnął gorąco kochanej matce posłać jakąśkolwiek wiadomość o sobie. Ale jakżeby to przeprowadzić, kiedy cały obszar z tamtej strony Tybru obsadzony był wojskami nieprzyjacielskiemi? Pozostawała jedna tylko możliwość, a mianowicie wysłać jakiegoś wieśniaka okolicznego z listem do matki do Watykanu do kaplicy Anakleta, ówczesnego kościoła św. Piotra, gdzie chrze-

ścianie schodzili się i spotykali. Tamto można było list oddać, tam też mógł się najpewniej dowiedzieć, jak się powodzi matce jego, matronie Irenie, wdowie po Kastulu. Późnym wieczorem wrócił posłaniec z odpowiedzią, że matka zdrowa a że list co prędzej wręczonym jej będzie. Wieść bowiem o jej pojmaniu i wrzuceniu do więzienia nie doszła jeszcze do Watykanu. Takto Niebo zachowało szlachetnego młodziana od ciężkiego smutku; jego dziecięce serce radowało się na myśl o szczęściu matki, gdy otrzyma list jego, a odblask najwyższej radości widniał w jego obliczu na myśl o chwili, w której będzie mógł objąć ją i uściskać.

Ach, gdyby on mógł przeczuć, gdzie ona się wówczas znajdowała i ile cierpiała!

Tymczasem Kandydus siedział szczęśliw w jednej z komnat wili, którą mu na noc przeznaczono i wodził z otwartego okna rozmarzonemi oczyma od doliny Tybru oświetlonej łagodnym blaskiem gwiazd do dalekich gór sabińskich, a wspomnienie i nadzieja, dwie rozkoszne siostry, przedstawiały żywej wyobraźni młodziana obrazy pełne powabu.

Wtem zapukał ktoś do drzwi i do komnaty weszli trybyn Artemiusz z senatorem Anicyuszem Paulinem.

Od czasu, gdy okazał się ów znak niebieski z imieniem Chrystusa, czuli dwaj ci mężowie wielki pociąg do chrześciaństwa; w tym pociągu umacniało ich dziwne powodzenie, które potwierdzało obietnicę niebieską w sposób tak podpadający. Odtąd częściej mówili z Kandydem o nauce Chrystusa, najprzód każdy z osobna, później już razem, a im bliżej z tą nauką się zapoznawali, tem bardziej znikała mgła przesądów przed słonecznem światłem wschodzącej dla nich prawdy.

W ten sposób powstał między trzema tymi mężami związek przyjaźni ugruntowanej na najszlachetniejszych zasadach. Bez poprzedniej umowy znaleźli się i dzisiaj trybun z senatorem w mieszkaniu Kandyda wiedzeni tylko żądzą wyjawienia mu wobec zbliżającej się stanowczej chwili bitwy, że zwycięstwo cesarza Konstantyna będzie zarazem zwycięstwem Chrystusa nad ich sercami.

— Niewysłowiony czuję pociąg do Rzymu — dodał Paulinus z westchnieniem — mimoto drżę na myśl o losie moich dziatek. Wczoraj wieczorem zaraz po naszem przybyciu wyprawiłem bocznemi drogami wiernego sługę do miasta, aby przyniósł mi wieści o nich, lecz nie wrócił on jeszcze do tej chwili. Codziennie błagam gorąco Boga, aby mi pozwolił odnaleść moje dziatki zdrowo i cało. Ślubowałem mu, że mają wraz zemną zostać chrześcianami, a ja dokładać będę wszelkich starań aby z wewnętrznego przekonania i z całego serca były chrześcianami.

— Zaufaj Bogu, a odnajdziesz dziatki twoje — odparł żywo i z ciepłem Kandydus. — Nasz Bóg to nie bałwan pogański z kamienia lub kruszcu, który ma wprawdzie uszy, lecz nie słyszy, a którego biedni i strapieni napróżno obejmują za kolana.

Młodzian ten poznawszy szlachetne serca owych dwóch mężów modlił się od kilku już tygodni gorąco o ich nawrócenie; ich dzisiejsze oświadczenie napełniło go najwyższą radością. Pobożne zaś serce jego, upatrywało w ciężkich doświadczeniach, które dotknęły senatora Anicyusza, wyraźne rozporządzenie Opatrzności chcącej tak jego, jak dzieci jego przeprowadzić przez morze cierpień do przystani zbawienia. Radość jego byłaby jeszcze większą, gdyby był mógł wejrzeć w przyszłość. Artemiusz bowiem, który za panowania synów Konstantyna doszedł do najwyższych godności, miał przyczynić chwały Kościołowi ponosząc chwalebne męczeństwo za rządów Juliana Odstępcy, który ściąć go kazał. Do rodziny Anicyanów zaś należał pierwszy konsul chrześciański w państwie rzymskiem, a w dalszym ciągu istnienia wydała ta rodzina więcej, niż inne, świetny poczet dzieci wsławionych w kościele i świętych. I tak pomiędzy innymi pochodzili z tej rodziny św. Benedykt założyciel zakonu, św. Grzegorz Wielki i papież Feliks III. W Rzymie

nosiła cała ulica nazwę Anicyańskiej ulicy. Groby tej rodziny znajdowały się w bazylice św. Pawła.

Z wili »pod kurami« widać było w dali ognie strażnicze wojsk nieprzyjacielskich ciągnące się wzdłuż Tybru i na pogórkach prowadzących do miasta; w ciszy nocnej zaś słychać było nawet hałaśliwe krzyki żołdactwa Maksencyusza, które dzikiemi pijatykami przygotowywało się na walną i stanowczą bitwę.

Z oczyma zwróconemi w tę stronę siedział w odległym i ciemnym zakątku wili kapłan pogański Mitrasa Gordyan, pogrążony w chmurnem zamyśleniu. Za każdem zwycięstwem Konstantyna umacniało się w żołnierzach przekonanie, że Bóg chrześcian jest ich wodzem i przewodnikiem. Zdawało się, że cesarz czeka tylko na zdobycie Rzymu, aby otwarcie stanąć po stronie Ukrzyżowanego. A nawet tak poważni mężowie jak Artemiusz odwrócili się już od bogów.

Nadzieja, którą Gordyan pokładał w Rufusie, dowódcy wojsk Maksencyusza, haniebnie zawiodła, a jakby na złość wszystkie wróżby z wnętrzności zabitych zwierząt wypadały na korzyść i pomyślność Konstantyna.

— Zdaje mi się, że dożyję jeszcze tej hańby, iż świątynie i ołtarze stać będą w opuszczeniu, a na miejscu, gdzie dawniej stały obalone posągi bogów nieśmiertelnych postawi zwycięzko nogę ów Nazarejczyk! — cedził zgrzytając zębami Gordyan. — Albo czyż już nadchodzi zapowiedziany przez Sybilę pożar wszechświata mający według odwiecznego przeznaczenia pochłonąć w olbrzymich płomieniach niebo i ziemię, Chrystusa i bogów pospołu?

— Straszne przeznaczenie — mruczał dalej, zaciskając pięści i uderzając w wielkim gniewie laską o ziemię — straszne to przeznaczenie składać hołd Konstantynowi, pochlebiać mu i przepowiadać zwycięstwo po zwycięstwie! Ha! że też to ja właśnie muszę być owym prorokiem, który oznajmia zwycięstwo i tryumf Ukrzyżowanego nad moimi bogami!

Dopiero brzask poranny, siejący promienie światła na daleki krajobraz i tonie Tybru spłoszył Gordyana z samotnego zakątka tak właśnie jak nadchodzący dzień spłoszy nocnego puszczyka i każe mu szukać kryjówki.

Następnego rana mówiono w całym Rzymie tylko o przybyciu Konstantyna pod bramy miasta. Przed pięciuset laty napełniła wieść »Hannibal pod naszemi bramami« wszystkich mieszkańców zgrozą i przerażeniem; dzisiaj przyjęli Rzymianie podobną wieść o Konstantynie z cichą radością, z życzeniami i modłami o zwycięstwo dla niego, jako też z niezachwianą nadzieją lepszych czasów po zrzuceniu i wyparciu tyrana z tronu.

Herakliusz rozważał bardzo skrupulatnie następstwa dla jego własnej osoby w razie, gdyby wojna wzięła niepomyślny obrót. Nikt też dokładniej nie badał każdego choćby najmniejszego poruszenia wojsk nieprzyjacielskich ku Rzymowi. Myśl o przyszłości nie pozwalała mu spać przez kilka nocy ostatnich. Istotnie, nie było w całym Rzymie człowieka, na którymby ciążyły większe troski jak ów wszechmocny prefekt cesarskiej kancelaryi, któremu tylu zazdrościło tego stanowiska. Wiedział on wprawdzie, że Rufus poczynił przygotowania na wypadek porażki, aby cesarzowi umożliwić, cofnięcie się na południe i wykonać plan wojenny Maksencyusza mimo wszelkich przeszkód; atoli Herakliusz nie miał ochoty wystawiać się na tak trudną ucieczkę wraz z jej różnorodnemi przygodami.

— A cóż się stanie, jeśli Rufus polegnie, a cesarza zabiją? Gałąź, na której siedziałem dotychczas — mówił do siebie — poczyna próchnieć; trzeba więc sobie wyszukać innej jeszcze gałęzi, aby można się jej bezpiecznie uczepić, gdyby burza urwała pierwszą.

A któż mógł być trwalszą gałęzią jak Konstantyn, mimo to Harakliusz uczynił wszystko, aby gałęź ta była dla niego niedosięgniętą.

Aby dopiąć urzędu, który piastował, używał wszelakich środków, jakie mu się nastręczały, aby się przy nim utrzymać, wysługiwał się chciwemu i okrutnemu tyranowi, na jego majątku spoczywała skrzepła krew niewinnie straconych. Zrzucony z urzędu prefekt miasta Rufinus był dawniej towarzyszem broni Konstantyna. Herakliusz z trwogą myślał o tem, czy Konstantyn nie dowiedział się już o podsuniętych mu sfałszowanych listach. Jakże ten Konstantyn, ów przyjaciel chrześcian, mógł myśleć o odstępstwie Herakliusza od Kościoła i wystąpieniu jego przeciw papieżom Marcelemu i Euzebiuszowi?

Sumienie długi czas uśpione poczynało się budzić, lecz było to przebudzenie żmiji, które trwogą śmiertelną pierś mu ściskało.

Niegdyś przyszła mu do głowy myśl, aby potajemnie wysłać wszystkie skarby i kosztowności do Neapolu do jednego z tamtejszych przyjaciół a na przypadek, gdyby Maksencyusz miał przegrać najprzód uciec do Neapolu, a ztamtąd do swojej ojczyzny Grecyi. Atoli prędko po sobie następujące wypadki polityczne nie pozwoliły na wykonanie zamysłu a oprócz tego powstrzymywała go obawa, że cesarz dowie się o tem przez swoich szpiegów.

Teraz jedynym ratunkiem dla Herakliusza był Kościół, którego ojcowskie serce tak ciężko sam był zranił. Gdyby się z Kościołem pojednał i był znów przyjętym do wspólności z wiernymi mógł się spodziewać tego, że znajdzie łaskę u Konstantyna. Ale czyż był sposób uwolnić się od klątwy nie poddawszy się długoletniej surowej pokucie? Zdawało mu się, że znalazł ten sposób w wniosku, który był właśnie Maksencyuszowi przedłożył.

Podobnie jak przed pięćdziesięciu laty cesarz Gordyan po krwawem prześladowaniu Waleryana, zwrócił chrześcianom wszystkie kościoły i cmentarze, tak i teraz musiał on skłonić koniecznie Maksencyusza do podpisania takiegoż ułaskawienia dla chrześcian.

Gdy nadeszła godzina przyjęć porannych, udał się Herakliusz do tyrana i powitał go następującemi słowy:

— Otóż Konstantyn rozłożył się w wili »pod kurami.« Jakże to pomyślny znak pod kurami?

— Na Herkulesa — zawołał Maksencyusz śmiejąc się — nie pomyślałem jeszcze o tym znaku. Ha! »pod kurami.« Ale poczekajno, jak jastrząb rzuci się między płochliwe kury, a zacznie dziobać, to aż pierze poleci. Jutro musi Rufus nieprzyjaciela zniszczyć; będzie to największem uświetnieniem mej uroczystości. Szkoda, że nie mogę równocześnie znajdować się w dwuch miejscach.

— Przyszedłem właśnie — odrzekł Herakliusz — jako przełożony kancelaryi po rozkazy dzienne, jak mam przez kuryerów wysyłać regularne wiadomości z miejsca bitwy do cyrku. Jeśli wyznaczysz mi pewną liczbę najlepszych koni z cesarskich stajen, to porozstawiam w odległości kwadransa drogi jeźdźców; każdy doniesie wiadomość najbliższemu, tak, że ty bawiąc w ulicy apijskiej, będziesz się znajdował niejako na placu bitwy.

— Na maczugę Herkulesa! toż w ten sposób będzie Rufus mógł posłać mi do cyrku ciepłą jeszcze głowę Konstantyna, to mi się podoba!

— Chodzi głównie o to, aby donoszenie wieści działo się punktualnie i dokładnie, a odpowiedzialność tylko ja jeden odważam się przyjąć na się. Oprócz tego powinien zaraz po skończonej bitwie osobny posłaniec pospieszny zanieść wieść o zwycięstwie do Neapolu a ztamtąd do Afryki.

— A inni posłowie osobni do Galii (Francyi), Brytanii (Anglii) i Hiszpanii, aby mię tam natychmiast obwołano cesarzem.

— Każę już teraz wygotować opisy zwycięstwa.

— Bardzo dobrze! Swoją drogą musisz już obejść się bez zabawy w cyrku. Ale nie smuć się! Oddam ci za to w zarząd prowincyą Galią, tam mo-

żesz sobie wynagrodzić obecne zrzeczenie się przyjemności.

— Cieszyłem się wprawdzie już od kilku miesięcy na tę uroczystość; lecz wierny sługa powinien dla swego pana wyrzec się zabaw i przyjemności.

Przez to osięgnął Herakliusz tyle, że mógł każdej chwili otrzymywać najpewniejsze wiadomości o przebiegu bitwy i mógł w domu czekać na jej wynik; jak słusznie przewidywał Konstantyn, obrał właśnie rocznicę wstąpienia na tron Maksencyusza do stoczenia stanowczej bitwy i zmierzenia się z przeciwnikiem. Teraz przedłożył cesarzowi edykt do podpisu, według którego miały być chrześcianom zwrócone cmentarze i kościoły powtarzając cesarzowi obietnicę, że w każdym razie będzie miał wszystkich chrześcian w klatce jeśli nie w dzień śmierci Cecylii, to niezawodnie przed końcem roku, a mianowicie gdy będą obchodzili święto narodzenia swego Boga.

— Czy sądzisz napewno, że te szczury chrześciańskie pójdą na to sadło? — zapytał Maksencyusz.

— Odjęcie im cmentarzy i kościołów — odrzekł Herakliusz — jest dla nich boleśniejszem od najkrwawszych męczarni. Zobaczysz, z jaką żądzą polecą oni w zasadzkę na tę ponętę.

Maksencyusz podpisał.

— Czy twoja boskość — odważył się prosić dworzanin — nie zechce uwieńczyć swej wspaniałomyślności a skazanym na śmierć chrześcianom w chwili, gdy ich na śmierć do cyrku prowadzić będą...

Cesarz ściągnął groźnie brwi i spojrzał na Herakliusza takim wzrokiem, że temu ostatnie słowa na ustach zamarły.

— Ty chytry grecki lisie — badał go Maksencyusz — cóż to znowu za tajemne plany masz w głowie, że stałeś się przychylnie usposobionym dla chrześcian? Na maczugę Herkulesa, zgniotę i zmiażdżę łeb każdej żmji, którąby chciała owinąć się o moje nogi. Dziękuj bogom, że już podpisałem. Gdybyś był prosił o łaskę dla dawniejszego prefekta miasta — mówił dalej cesarz z wzrastającą niechęcią — to co innego! Gdyż co prawda on był wiernym urzędnikiem. Ale to właśnie jest nieszczęściem dla mocarzy, że lada marny bąk wlazłszy koniowi w ucho przez zjadliwe ukłucia wprawia go w wściekłość. Wiesz ty o tem, że wczoraj przybył do Rzymu, wielki trójwiosłowiec z Egiptu ze zbożem? A ty oskarżyłeś go przedemną, że on miasta nie zaopatrzył jak się należy w zapasy? A bodajże i był chrześcianinem; na bogi, renegat, odstępca, który wiary się swej wyrzekł, jest sto razy gorszym. Wynoś się ztąd! Aleć powiadam, spamiętaj to sobie, jeśli kiedykolwiek przekonam się, że za słowika miałem ropuchę, nikczemną, zjadliwą ropuchę, to cały Rzym będzie świadkiem, jak cesarz takiej gadziny z ogrodu się pozbywa.

Herakliusz nie śmiał odrzec ani słowa; w milczeniu się ukłonił i wyszedł od władcy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hymn do N. P. M. Ostrobramskiej.

Królująca z wysoka
Nad murami naszemi!
Rzuć promienny blask oka,
Spojrzyj Matko ku ziemi!
Tu w błagalnym rozgwarze
Płynie modła w przestrzeni;
Tu sieroty, nędzarze,
Tu na duszy strapieni;
Ich nadzieja jedyna,
Twoja litość matczyna.

Znasz, co w myślach się mieści.
I co w sercach nam pała;
Znasz tajniki boleści,
Boś ty sama bolała!
Wiesz, kto ulgi udziela:
Niechże Syn Twój, Bóg Człowiek,
Choć promykiem wesela
Łzy osuszy nam z powiek;
Niech się wstawi do Syna
Twoja litość matczyna.

L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla).

Prace ludoznawcze na Górnym Śląźku mianowicie Józefa Lompy.

Napisał ksiądz Karol Myśliwiec.

(Dokończenie.)

Oprócz przysłów pozostawił nam J. Lompa w wyżej wspomnianym rękopisie p. t. Märchen, Sagen etc. obfity materyał do zbioru baśni podań, zwyczajów, zabobonów i przesądów ludu śląźko-polskiego. Rękopis ten krytycznie ocenił i do ogólnego podał użytku prof. Wł. Nehring w »Mitteilungen der schles. Gesellschaft für Volkskunde 1896 III. 1. Z pracy prof. Nehringa dowiadujemy się, iż rękopis na prędce bez jakiegokolwiek planu lub systemu ułożonym został, ale zarazem przekonujemy się, iż zebrany tam surowy i luźny materyał obfitością swoją przewyższa wszystko, co u nas w tym dziale etnograficznym zrobiono! Można to twierdzić mimo że o tym przedmiocie najwięcej u nas pisano.

Odsyłając łaskawego czytelnika do książki prof. Dr. J. Partscha: Litteratur der Landes- und Volkskunde der Provinz Schlesien Heft 3. Breslau 1895, gdzie znajdzie niemiecką bibliografię tego przedmiotu, podaję na tem miejscu to, co mi się udało zebrać z bibliograficznych wiadomości polskich.

1) O obrządkach weselnych wieśniaków w Śląźku. Nowy Pam. Warszawski 1801 t. IV.

2) Klechdy ludu na Śląźku: Przyjaciel ludu. Leszno 1843—46 X—XIII.

3) Smogorów (starożytne podanie ludu śląźkiego) Czas 1851 nr. 260.

4) Zmorski Roman: Podania i baśni ludu w Mazowszu z dodatkiem kilku śląźkich i wielkopolskich, Wrocław 1852.

5) Bartoszewicz: Obrzędy i zabobony w Wielkopolsce i na Śląźku. Unger Kalendarz Warsz. 1854.

6) Zabobony i przesądy w Polsce i na Śląźku. Wildt Kalendarz powsz. Kraków 1858.

7) Fritz: Co w Śląźku jest zwyczajem w czasie świąt wielkanocnych i przed niemi. Tygodnik illustrowany 1865 XI.

8) Tenże: Zwyczaje i obyczaje na Śląźku. Tyg. illustr. 1866. XII.

9) Hytrek A. Górny Śląźk pod względem obyczajów, języka i usposobień ludności z przedmową B. Kalickiego. Przegląd Polski 1880 XIV.

10) Podania śląźkie. Tygodnik illustrowany. 1882.

11) Klechdy i podania ludu śląźkiego Królewska Huta 1885.

12) J. Gregor: O książeczkach zabobonnych i odpustach fałszowanych Królewska Huta 1885.

13) Corberon: Powieści bajeczne Śląźka. Przełożone z języka francuskiego na polski przez Fr. Zagorowskiego Brodnica 1845.

Nic nie wyobraża lepiej istoty i charakteru ludowego jak pieśń ludowa. Bo jeżeli w przysłowiu wyrażoną jest niejako mądrość czyli filozofia ludu, a w podaniach i baśniach jego fantazya, to w pieśniach wylaną jest dusza i serce jego. To też słusznie od samego początku istnienia folklorystyki jeden z najważniejszych jej działów stanowią zbiory i badania pieśni ludowych. Nic więc dziwnego, że etnograf tej miary co Lompa szczególną także zwrócił uwagę na pieśni polskie wśród ludu śląźkiego używane. Z wielką pilnością i gorliwością zbierał i zachęcał innych do zbierania pieśni ludowych i z pomocą kilku życzliwych mu osób i bezinteresownych współpracowników, jak pastora Fiedlera z Międzyborza, kandydata teologii Prussego z Wołczyna, nauczyciela Hellera z Mikulczyc (zob. Schl. Prowzbl. z roku 1863 str. 614) wykończył i przygotował do druku bogaty zbiór polskich pieśni ludowych z melodyami na wzór zbioru pieśni serbo-łużyckich Smolera. Niestety rękopis wysłany do Warszawy do druku, zginął w drodze bez śladu a z nim owoc długoletniej mozolnej i zmudnej pracy.

Widocznie Lompa nie przestał i nadal zbierać polskich pieśni z ust ludu czerpanych i zajął się układaniem nowego zbioru, bo autor artykułu o Lompie w Schl. Prozbl. l. c. wspomina o drugim rękopisie, o którym L. Malinowski (Ateneum 1877 t. I.) powiada, iż się miał dostać do rąk Oskara Kolberga. W zbiorze pieśni ludu polskiego w G. Ślązku Juliusza Rogera zostało umieszczonych 13 pieśni J. Lompy mianowicie nr.: 69, 79, 97, 104, 135, 141, 318, 388, 391, 395, 456, 472 i 499.

O pieśniach tych wyraża się J. Roger w wstępie do swej książki w następujący sposób: »Z pomiędzy zaś pieśni, które nabyłem od pana Lompy, nie jedna słowo w słowo już drukowana w innych zbiorach pieśni ludu polskiego; ale ponieważ pan Lompa zapewnił mię, że pieśni te sam zebrał między ludem wiejskim powiatów lublinieckiego i kozielskiego, przeto nie mógłem ich nie umieścić w swoim zbiorze.« Przed Lompą głównie wspomniany wyżej poeta niemiecki i zasłużony wydawca niemieckich pieśni ludu ślązkiego Hoffmann von Fallersleben zwracał uwagę na potrzebę zbierania pieśni wśród ludu polskiego na Ślązku. W tym celu napisał krótką odezwę w Schl. Provzbl. 1828 1. Bd. str. 150, 51, lecz głos jego przebrzmiał bez echa. Mimo tego nie spuścił sprawy z oka i aby ponownie zachęcić do ważnej tej pracy umieścił w swojem piśmie: Monatsschrift von u. für Schlesien 1829 cztery polskie pieśni z Ślązka, mianowicie na str. 237—39 dwie pieśni z Olawy, które odebrał od profes. Bandtkiego, na str. 486 piosnkę z Raciborskiego i na str. 488 piosnkę z Kozielskiego; obydwie nadesłał kandydat J. Rzepka. Dwie pierwsze i ostatnią znajdujemy także u Rogera str. 330, 331 i 279. Pojedyńcze pieśni górnoślązkie umieszczał od czasu do czasu wychodzący w Lesznie »Przyjaciel ludu.« U Rogera tylko 2 pieśni nr. 133 i 505 zaczerpnięte są z »Przyjaciela,« chociaż niewątpliwie zwłaszcza w r. 1844 i 1846 więcej ich tam drukowano. Jako bibliograficzne notatki znalazłem i jako takie też podaję:

1) Tygodnik literacki 1843 nr. 27: Pieśni ślązkie.

2) Cygan: Zbiór pieśni polskich, Głogówek 1870.

3) Starostzick: Oberschles. Volkslieder aus dem Kreise Rybnik. Archiw für slav. Philologie 1885 VIII.

Do czego Hoffmann von Fallersleben gorąco zachęcał, a co J. Lompa usilnie uczynić pragnął, tego dokonał z najlepszem powodzeniem Juliusz Roger. Mąż ten urodzony 27-go Lutego 1819 r. w Niederstotzingen w Wyrtembergii dopiero w późniejszym wieku, gdy został nadwornym lekarzem, księcia Raciborskiego, u nas na Ślązku po pierwszy raz miał sposobność otarcia się o lud polski. I on mógł pójść wygodną drogą, którą u nas zwykle chodzą ludzie wyższe zajmujący stanowiska i żądać, aby tysiące prostaczków nauczyło się jego mowy niemieckiej, jeżeli chcą się do jego dostojnej osoby zbliżać. Lecz przyrodzony zdrowy rozsądek i silne poczucie sprawiedliwości powiedziało mu, iż łatwiej jemu nauczyć się obcej mowy, aniżeli prostym wieśniakom, i dla tego jął się uczyć natychmiast mowy tego ludu, wśród którego miał resztę życia spędzić. I wkrótce nauczył się po polsku tak doskonale, że trzeba go zaliczać do tych ludzi na Ślązku, którzy najlepiej język polski znali. I jemu to właśnie przypadło zaszczytne zadanie zebrania owych »wonnych kwiatów pieśni gminnej wyrosłych na piaszczystych polach górnoślązkich.« Wydając książkę p. t.: Pieśni ludu polskiego w Górnym Ślązku z muzyką. Wrocław H. Skutsch (dawniej Schletter) 1863. pozostawił J. Roger po sobie pomnikowe dzieło, które po wszystkie czasy będzie ozdobą górnoślązkiej literatury polskiej, a które do dziś dnia jest najcenniejszym jej nabytkiem.

Książka Rogera zawiera w sobie 546 pieśni z 300 melodyami. Pieśni te po większej części wprost z ust ludu spisane z zachowaniem dyalektologicznych właściwości językowych pozostaną nie tylko dla lubowników poezyi ludowej, ale także dla lingwistów (badaczów ję-

zyka) i innych badaczów niewyczerpanem źródłem i nieprzebraną skarbnicą. Jakiemi myślami i uczuciami powodowany zabrał się J. Roger do ważnej ale mozolnej i zmudnej pracy, o tem poucza nas najlepiej on sam w wstępie do swego dzieła pisząc:

»Jeśli dziełko Niemca potrafi, choćby cokolwiek, rozproszyć mgłę, jaką przesądy zaciemnieją lud polski Górnego Ślązka i język jego, oraz przyjemniejsze światło rozlać po jego miłem życiu duchowem, które się w pieśni objawia nieciśnione i nietłumione wpływem świata zewnętrznego, — będzie to sowitą wynagrodą pracy i trudów towarzyszących dopełnieniu zbioru pieśni ludu polskiego w Górnym Ślązku.« Życzenie to szlachetnego, sprawiedliwego i nieuprzedzonego cudzoziemca do dziś dnia u nas nie spełnione. Do dziś dnia »przesądy zaciemniają lud polski Górnego Ślązka i język jego« a my Ślązacy nie staramy się ich rozproszyć, wyjaśnić, usunąć. Co gorsza sami koszlawimy nasz język ojczysty w nielitościwy sposób i najopaczniejsze mamy pojęcia o własnym języku, o naszem pochodzeniu i o naszym narodzie. A jednak wśród zakresu wiedzy ludzkiej rzeczy swojskie jako najbliższe na pierwszym planie zawsze stać powinny. Poznać je, zbadać, obowiązkiem jest każdego prawdziwie ukształconego człowieka.

SZABLA.

Jeden z najwybitniejszych pisarzy XVIII wieku, ks. Franciszek Jezierski, tak pisze o szabli: »Szabla, pałasz, kord, koncerz, miecz, karabela, wszystko to znaczy żelazo w ręku do zabijania i kaleczenia człowieka. Sztukę wzajemnego nacierania na życie z taką bronią, nazywają z dawna Polacy sztuką szermierską, nasi sąsiedzi fechtowaniem. Zdaje się, że jak wesołość ma swoje powierzchowne znaki, które są charakterami narodów w ich tańcach, tak i poruszenie złości ma swój charakter w porwaniu się do żelaza. Węgrzyn tnie na odlew, Moskwicin z góry, Turczyn ku sobie, a Polak na krzyż macha swoją szablą. Szabla polska była przed laty straszna narodom, dopóki miękkość wieku, zbytki krajowe nie poprzeinaczały junaków z mocnych i śmiałych na grzecznych i zabawnych, a przeto gdy przesąd, chełpliwość, zemsta, wyzywa na pojedynkowe potkanie, wolą na pistolety się puścić, jak na zręczność władania szablą.« Starożytny oręż polski był prosty i obusieczny, nazywał się mieczem. Kształt szabli krzywej, jednosiecznej przybył do Polski z wschodu i południa wraz z jej nazwą, która w języku arabskim brzmi s a j f, w staro - hiszpańskim s a v i a, s a v r a, we francuskim s a b r e, we włoskim s c i a b o l a i z tego ostatniego została przekształconą na polską s z a b l ę. Czacki powiada, że »dworackie szabelki nazywały się za Kazimierza Jagiellończyka indyczkami od podobnej do szyi indyków formy«. Przypuszczać jednak należy, że już w XIII wieku napady mongolskie zapoznały Polaków z krzywą szablą



W WIĘZIENIU.

azyatycką. Czacki dobrze tłumaczy przyczynę upowszechnienia się w Polsce szabli nieco skrzywionej, której i Węgrzy używają. Taka szabla — powiada — oprócz mocniejszego cięcia daje większą zasłonę głowy, niżeli szabla prosta czyli szpada. Szabla należała do tak zwanej broni białej czyli siecznej, na której Polacy fundowali swoje zwycięstwa. Była ona ukochaną bronią narodu, którą rycerz polski oddawał na polu walki jeno razem z życiem. Stosunek jaki zachodził między Polakiem i jego szablą, nie powtarza się u innych narodów. Polska szermierka była także odmienną. Miała swoją sztukę krzyżową, cięcia Rejowskie, Referendarskie i t. d. Gdy weszła w modę broń droga, Polacy używali zwykle dwojakich szabli do stroju: karabeli ozdobnie bardzo oprawnej lub pałasika polskiego; do boju zaś i pojedynków szabli czarnej. Było wiele gatunków tej broni.

A u g u s t ó w k a. Pod tą nazwą słynęły w XVIII wieku dobre szable z fabryk polskich, istniejących w województwie Sandomierskiem i Krakowskiem, gdzie dobywano i oczyszczano rudę żelazną. Dobroci tych szabel próbowano obcinając klamki i gwoździe, bez szczerby w ostrzu klingi, czyli jak po staropolsku nazywano, główni. Nazwę swoją wzięły Augustówki od wyrytej na nich cyfry królewskiej Sasów: Augusta II i Augusta III, oraz Stanisława Augusta Poniatowskiego.

B u ł a t, szeroka szabla turecka. Nazwa pochodzi od wyrazu perskiego p u l a d — stal, ztąd szablę lub miecz perski, z szeroką głównią, z wyborowej polerownej stali zwano bułatem. Miecze takie i szable były rozszerzone ku końcowi. Pisarze dawni polscy przejąwszy z perskiego ten wyraz, używali go pospolicie i w znaczeniu stali. Mówiono więc: bułatowa tarcza, bułatowe źwierciadło, bułatowy miecz, czyli z wybornej polerownej stali.

D e m e s z k a, d a m a s c e n k a, szabla. Miasto Damaszek w Syryi słynęło wyrobem tkanin, zwanych adamaszkiem, tudzież szabel i nożów ze stali damasceńskiej, uważanej za najtwardszą i najlepszą. Oprócz tych zalet głowną cechą demeszek była ukwieciona powierzchnia ich główni czyli klingi. Demeszkować w języku płatnerzy polskich znaczyło na wzór fabryk damasceńskich żelazo kwiecić.

K a r a b e l a, szabla krzywa, wąska, cienka i lekka, bez kabłąka przy rękojeści, bogato oprawna, której Polacy od czasów Zygmunta I używali do stroju uroczystego. Nazwa pochodzić ma od miasta Karbala (Kerbela), leżącego o 16 mil od Bagdadu, w okolicy którego wyrabiano szable podobne a miasto prowadziło niemi rozległy handel. Rękojeść karabeli bywała z kamienia drogiego, jaspisowa, agatowa, ametystowa, złotymi lub szmelcowanymi gwoździkami spajana. Karabel nie używano do boju a nawet rzadko do pojedynków. Stąd Wacław Potocki przygania tej modzie, pisząc:

Pókiśmy miecze, pałasze i kordy
Nosili, nie baliśmy się Ordy;
A gdy z karabelami nastały czeczugi,
Nie orzą w Ukrainie i w Podolu pługi.

Czeczuga była to ozdobna szabla tatarska. Kupcy lwowscy zaopatrywali całą Polskę w ozdobną broń wschodnią. W dnie ślubów, pogrzebów, na pokojach królewskich, przy pierwszych odwiedzinach, na imieninach, przenosinach, szlachcic



KARŁY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 480.)

zawsze występował przy karabeli. Przez poszanowanie gospodarza nie odpasywał jej, dopóki o to przez niego poproszony nie był.

Serpentyna. Od wyrazu łacińskiego serpens, wąż, żmija, nazwali Polacy serpentyną, szerpentyną, serpentynką, szablę najbardziej krzywą, używaną do zwykłego stroju polskiego w wieku XVI, XVII i XVIII. Kochowski pisze w »Wiedniu wybawionym«: »Kordy, pałasze, kręte serpentyny.« Służyły one zwykle do pojedynków. Był także rodzaj dział 24 funtowego kalibru, zwanych serpentynami.

Dokument cechu mieczników krakowskich z roku 1777 wymienia, iż mają robić: miecze, koncerze, multany, szable polskie, pałasze husarskie (prawie proste), kordelasy polskie (myśliwskie), obuchy, karabele, jendyczki, czeczugi, i te osadzać i te oprawiać. Szablę wielką używaną do boju i noszoną przez ludzi wojennych, nazywano szablą czarną, kordem, pałaszem; fabrykę szabel zwano szabelnią; rzemieślnika, który je wyrabiał płatnerzem lub miecznikiem. Najsłynniejsze szable polskie były Staszówki, wyrabiane w Staszowie sandomierskim, Augustówki, Batorówki, Zygmuntówki (od cyfr lub portretów Batorego, Zygmunta III lub Augustów Sasów), także lwowskie i wyszyńskie. Oprawiano szable w pochwy wężowe, czyli t. zw. jaszczurowe, lub skórzane. Jak próbowano dobroci szabel niech wyjaśni wiersz poety:

U drzwi domostwa, wszystkie klamki, ćwieki, haki,
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie-to próbowano hartu Zygmuntówek,
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczerby.

Żelazo szabli zwali Polacy głównią, brzeszczotem lub klingą, rękojeść jelcem. U szabli polskiej jelec zwykle krzyżowy, do 6 cali długi, nieco kabłąkowy. Jelce u szabel czarnych były z pałąkiem graniastym i małym skóbelkiem. Ten pałąk nazywał się krzyżem, a skóbelek paluchem, od wielkiego palca, który weń wchodził. Szable z szerokiemi pochwami i wielkimi krzyżami nosili najwięcej ludzie dworscy. Stan rycerski nosił szablę z powołania; mieszczanie krakowscy, wileńscy, poznańscy, lwowscy mieli na to przywileje królów. Nosili i żydzi, bo Zygmunt August zakazuje im, aby przy orężu nie używali srebrnych i złotych łańcuchów, jak rycerstwo. Królowi chodziło o to, żeby lichwiarze, mając więcej srebra i złota od wojowników, nie zaćmiewali ich bogatym strojem.

O OKU I PIELĘGNOWANIU WZROKU.

Wzrok jest zmysłem, który daje człowiekowi najwięcej wrażeń i sprawia najwięcej przyjemności w życiu; za pomocą niego bowiem rozróżniamy otaczające nas przedmioty, ich wielkość, kształty, barwy, odległość wzajemnego położenia i ich liczbę. Wyłącznem narzędziem wzroku jest oko, składające się z gałki ocznej i rozmaitych części pomocniczych, służących do jej poruszania lub do jej ochrony i z nerwów wzrokowych. Gałki oka obie są osadzone w oczodołach kostnych i otoczone łożyskiem tkanki łącznej i tłuszczowej, są zatem dostatecznie zabezpieczone od wpływów szkodliwych. Mają one kształt kuli, od przodu nieco mocniej wypukłej, a od tyłu nieco spłaszczonej; od zewnętrznej strony są otoczone błoną sztywno-włóknistą, od przodu przeźroczystą tak zwaną rogówką, a od tyłu nieprzezroczystą, od barwy nazwaną białkówką a od sztywności twardówką. Rogówka jest wypukłą i wygląda na kształt szkiełka zegarowego, wprawionego z przodu twardówki, jest jedynem okienkiem, przez które dostają się promienie światła do wnętrza oka. Wewnętrzną stronę twardówki wyściela błona z delikatnych naczyń krwionośnych złożona, naczyniówka. Na granicy twardówki z rogówką tworzy naczy-

niówka poprzeczną błonę, tęczówkę, w której środku znajduje się okrągły otwór zwany źrenicą. Źrenica może się rozszerzać i zwężać za pomocą właściwych mięśni. Tylna warstwa tęczówki zawiera komórki barwikowe a te prześwietlając przez błonę tęczową, mającą rozmaitą grubość, nadaje jej barwę właściwą, błękitną, siwą, piwną lub czarną. Z tyłu gałki oka wchodzi prawie w samym środku przez otwór właściwy do niej obok naczyń krwionośnych nerw wzrokowy a rozszczepiwszy się na liczne włókienka, rościela się na całej powierzchni naczyniówki. Tworzy on trzecią najwewnętrzniejszą błonę, zwaną siatkówką, która chociaż bardzo delikatna, złożona jest jednak z wielu warstw komórek nerwowych, mających w samem wnętrzu kształt czopków albo laseczek pryzmatycznych. Wnętrze oka, wypełniają trzy ciała przezroczyste, które chociaż rozmaicie załamują światło, zawsze się wzajemnie wspierają w celu utworzenia obrazu na tylnej ścianie siatkówki. Ciałami temi są: ciecz wodnista z przodu między rogówką i tęczówką, soczewka za tęczówką tuż za źrenicą umieszczona i ciałko szkliste, tylną największą część gałki zajmujące. Najważniejszem ciałem, promienie światła załamującem, jest soczewka wypukło-wypukła, mogąca się za pomocą stósownych mięśni spłaszczać lub mocniej wypuklać. Temi mięśniami są ciałka rzęskowe i wiązadło rzęskowe, inaczej naprzężaczem naczyniówki zwane, które otaczają na około soczewkę, tkwiącą we właściwej torebce. Częściami dodatkowemi i pomocniczemi oka są mięśnie oka, brwi, powieki z rzęsami i narząd łzowy.

Mięśni poruszających gałkę oka jest sześć i te obracają ją w różne strony; leżą one w oczodole, poczynają się od kości i czepiają się gałki oka w różnych stronach, stósownie do ruchu, jaki wykonywaać mają. Jeżeli wszystkie mięśnie działają prawidłowo, wtedy oko obraca się także należycie, jeżeli zaś który z mięśni działa nieprawidłowo, wtedy oko zwraca się albo na zewnątrz, albo na wewnątrz i powstaje zyz zewnętrzny lub wewnętrzny. Zyz rzadko kiedy jest wrodzony, powstaje najczęściej u dzieci przez za bliskie przypatrywanie się przedmiotom lub przez złe leżenie w kołysce, gdy dziecię jest zmuszone w jeden punkt ciągle patrzeć. Powieki obie, górna i dolna są to chrząstkowate blaszki, poruszane mięśniami. Leżą one przed gałką oka dla jej ochrony i jej zwilżania. Skóra zewnętrzna powiek przechodzi wewnątrz w błonę śluzową, łączy się w głębi z twardówką i nazywa się spojówką. Brzegi powiek obsadzone są szeregami szczecinek, zwanych rzęsami, służącemi do ochrony oka, od kurzu, a razem z brwiami do zacieniania oka. Przy rzęsach znajdują się także szeregi gruczołów tłuszczowych, umaszczających rzęsy. Zapalenie tych gruczołów, powstałe przez ich zatkanie, nazywają jęczmieniem.

Narząd łzowy umieszczony jest dla ciągłego zwilżania oka i spojówki i dla spłukiwania wszelkich nieczystości oka. Gruczoł łzowy, wielkości bobu, leży nad gałką oka od strony zewnętrznej, tuż po za spojówką. Od niego prowadzą cienkie przewody ciecz słonawą, t. j. łzy przebijają spojówkę i rozlewają łzy po gałce ocznej i wewnętrznych ścianach powiek. Następnie łzy ściekają do wewnętrznego kąta oka, gdzie jest zbiornik łzowy, połączony kanalikiem z jamą nosową, dokąd ostatecznie się wlewają. Przy bardzo obfitem wpływaniu cieczy łzowej, przy płaczu, spływa ona kroplami także po twarzy, nie mogąc wąskim kanalikiem zupełnie wpłynąć do nosa.

Budowa oka może być porównaną z maszyną fotograficzną do zdejmowania portretów. Przez przezroczystą rogówkę i źrenicę wpadają promienie światła do wnętrza oka, doznają w cieczy wodnistej, soczewce i ciałku szklanem pewnego załamania i skupiają się na tylnej ścianie oka, nieco powyżej miejsca, którędy wchodzi nerw wzrokowy. Miejsce to nazywa się żółtą plamką i leży na przedłużeniu linii prostej, łączącej środek twardówki źrenicy i soczewki. Chcąc przeto widzieć wyraźnie

jaki przedmiot, musimy tak oko ustawić, ażeby obraz przedmiotu odbił się na żółtej plamce siatkówki. Wielkość przedmiotu oceniamy tak zwanem macaniem oka, wodząc źrenicą po jego powierzchni. Obraz widzimy dla tego pojedyńczo, że widziany przedmiot odbija się jednocześnie do mózgu i jako jeden przedmiot przedstawiają się naszemu poczuciu i wiedzy. Przedmiot badany musi być należycie oświetlony; za mocne oświetlenie olśniewa wzrok i przeszkadza



Najśw. Panna Marya Ostrobramska.

dokładnemu widzeniu, za słabe oświetlenie czyni obrazy niewyraźne i natęża bardzo ten organ.

Jak wszędzie tak i tu ostateczności oddziaływają szkodliwie.

Obraz przedmiotu tworzy się niekiedy przed plamką żółtą lub za plamką czyli przed lub za siatkówką. Wtedy przedmioty albo zbliżamy, albo oddalamy. Wady takie nazywamy krótkowidzeniem i dalekowidzeniem, a wzrok wtedy nazywa się krótkim lub dalekim. Wzrok jest prawidłowy, gdy drobny druk lub przedmioty rozróżniamy w odległości 22 do 24 cm. wyraźnie. Wadliwość krótkiego i dalekiego wzroku można naprawić stosownemi okularami, wklęsłymi dla krótkiego, a wypukłymi dla wzroku dalekiego, i wprawą stósowną, gdyż oko daje się zastósowywać do odległości przez należyte ćwiczenie.

Pielęgnowanie oczu i wzroku. Ślepota rzadko dostaje się człowiekowi od urodzenia w udziale, najczęściej powstaje przez nieumiejętne leczenie lub zaniedbanie choroby oczu, zwłaszcza u dzieci. I szczególniejsza rzecz, że narzędzie tak ważne i delikatne, dające człowiekowi tyle, a można powiedzieć największe przyjemności, bywa najlekkomyślniej zaniedbywane. Na wszystkie inne choroby szukamy lekarzy stósownych, a na choroby oczu używamy różnych maści i wódek, które nie pomagają lecz przeciwnie szkodzą. Takiego leczenia powinniśmy bardzo unikać zwłaszcza u dzieci. U dzieci małych często trafia się katar oczu, który jest zaraźliwy i może przejść w zapalenie. Nim lekarza zawezwiemy, dobrze jest miękką szmatką, zmoczoną w wodzie, obmywać oczy częściej, ale unikać po tem dotykania własnych oczu, ażeby się nie narazić na zapalenie. W ogóle oczy należy wymywać miękką szmatką lub palcami, nigdy zaś twardą gąbką. Rozumie się, że palcami czystymi, obmytymi poprzednio. Gdy do oka wpadnie jaki przedmiot, owad, pyłek i t. d., nie należy go wtedy trzeć, lecz otwarte zanurzyć w kieliszku lub szklance wodą napełnionej, a przedmiot ten sam wypłynie; gdyby zaś to pożądanego skutku nie odniosło, wtedy należy użyć pomocy drugiej osoby. Podnieść trzeba powiekę, a druga osoba czystem koniuszkiem szmatki lub chustki wyjmie przedmiot pod powieką się znajdujący. Ponieważ mocne światło olśniewa wzrok i osłabia go, przeto nie należy wpatrywać się w słońce, w płomyk lampy, na białe przedmioty, mocno oświetlone, lub na śnieg podczas pogodnego dnia.

Zrana, zaraz po obudzeniu się, nie należy wpatrywać się w okno. Kto ma wzrok osłabiony, powinien nosić, gdy światło słoneczne łzy mu wyciska, ciemne okulary. Nowonarodzone dzieci należy szczególniej chronić od silnego światła, ażeby nie sprowadzić porażenia zbyt delikatnego nerwu wzrokowego.

Pracowanie o zmroku, w ciemnym pokoju nad drobnemi robotami, nad czytaniem, pisaniem, robótkami kobiecemi, szyciem, haftowaniem jest także dla wzroku bardzo szkodliwe, gdyż sprowadza znaczne osłabienie nerwu. Gdy zaś dłuższy czas zajęci jesteśmy czytaniem, pisaniem lub drobną robotą, należy choćby na chwilę popatrzeć na przedmioty dalekie, tym sposobem oko sobie odpoczywa. Dla zabezpieczenia powiek i oka od szkodliwych wpływów, należy unikać dymu, kurzu zbytniego i wszelkich gryzących wyziewów, unikać częstego i długiego płaczu, który sprawia obrzmiewanie powiek. Brwi i rzęsy regulować, żeby przez zbytne wyrastanie nie drażniły oka.

Najbardziej unikać należy zapalenia oczu. Jeżeli się to wydarzy u kogo, to chory powinien być odosobniony od reszty członkow rodziny; należy nawet unikać wszelkiego dotykania chorego lub przedmiotów, których on dotykał, gdyż można mimowoli wydzieliny śluzowe chorego przenieść na własne oko. Szczególniej przy zapaleniu egipskiem, potrzeba zachować jak największą ostrożność. Zaćmienie soczewki zwane zaćmą, zdarzające się częściej u ludzi starych niż u młodych, poznaje się po tem, że źrenica zamiast koloru czarnego, ma szary lub żółtawy. Oko takie nic nie widzi. Tę wadę może tylko okulista (lekarz ócz) usunąć wyjęciem soczewki. Dla tego potrzeba zawczasu się udać do okulisty, ażeby on mógł ocenić, kiedy będzie stósowna pora do operacyi. Wszelkie leki tak zewnętrzne jak i wewnętrzne na to nic nie pomagają. Starajmy się tedy utrzymywać oczy w czystości, unikajmy wszelkiego zaniedbania, a w razie wypadku jakiego lub choroby, unikajmy partackiego leczenia, lecz powierzmy oko biegłemu lekarzowi.

NA STRACONEJ CZACIE.

(Ciąg dalszy.)

Mała Janinka córka markietanki, miała ciągnąć numera, nazwiska zaś Józio, dziewięcioletni synek Bellegarde'a.

— Uważaj, korniszonie — mówił stary wojak, ruszając niespokojnie wąsami — abyś własnego ojca nie posłał Lucyperowi na kolacyą.

— Nie kłopoccie się, ojcze! — odparł rezolutnie Józio — Choćbym też i wasze nazwisko wyciągnął, to iść nie potrzebujecie; toż i ja nazywam się Bellegarde, więc pójdę za was na straconą czatę, a wy zostaniecie przy matce i małej Anecie.

— Widzisz, stary marudo! Jak cię mały zawstydził! — zawołał z uśmiechem Montcalm.

— Ba! Łatwo jemu udawać zucha! Dobrze wie smyk, że jego szatatańska mość nie ma przystępu do małych bąków i nic mu nie zrobi. No, żywo! Ciągnijcie, malcy, a mądrze!

Rozpoczęło się ciągnienie losów; cisza zaległa pomiędzy żołnierzami głęboka.

— Numer 75! — zawołała Janinka.

— Chamne! — przeczytał Józio nazwisko żołnierza.

— Patrzcie! Jak się los głupimi opiekuje! — zawołał półgłosem stary wojak.

— Numer 30!

— Sapin!

— I ten nie lepszy! — uzupełnił Bellegarde.

— Numer 22!

— Chemille!

— A to się dobrali! wykrzyknął na cały głos ojciec Józia i ruszał niecierpliwie wąsami.

— Milcz i nie przeszkadzaj! — zawołał generał Montcalm — tem twojem gadaniem, wywołasz z pewnością los nieprzyjazny.

Snać uwaga hrabiego Montcalm trafiła do przekonania starego, bo milczał odtąd jak głaz, sapiąc tylko coraz więcej w miarę wychodzących numerów, gdy jego nazwiska dotąd nie wyciągniono.

Już większą połowę losów wyciągnęły dzieci, a numer pierwszy się nie pokazywał. Ci, których nazwiska już wyszły, spoglądali wesoło, że fatalna straż ich ominęła; natomiast pozostali niepokoili się widocznie, z trwogą spoglądając po sobie.

Nakoniec Janinka zawołała:

— Numer pierwszy!

Dreszcz przebiegł wszystkich. Mały Józio wyciągnął kartkę, rozwinął, nagle ręce mu zadrzały, zbladł i niewyraźnym głosem wybąknął:

— Bellegarde!

— Masz dyable kubrak! — wykrzyknął biedny rycerz tak rozpaczliwie komicznym głosem, że wszyscy przytomni głośnym wybuchnęli śmiechem.

A dziarski Tibard, młody i wesoły żołnierz, którego mowa zdradzała Gaskończyka, zawołał z żartobliwym uśmiechem:

— Utrzymują, że los jest ślepy, a tu właśnie pokazało się, że wie, co robi! Najwyższy i najokazalszy jesteś, kochany kolego, z całej kompanii, będzie miał dyabeł wyborną i sporą pieczeń!

— Milczałbyś, chłystku! — zakrzyknął z gniewem Bellegarde — tobie dowcipki w głowie, ale mnie co innego w myśli. Ja mam żonę i dzieci, a ty co? Karabin i tornister, które pewnie po tobie płakać nie będą, jak się zakwaterujesz w kotle u Lucypera!

To rzekłszy tak serdecznie uściskał Józia, że w wielu oczach żołnierzy łzy zabłysły.

W tej chwili bolesny jęk rozpaczy odbił się o wszystkie serca: żona Bellegarde'a, pułkowa praczka, z małem dzieckiem na ręku, rzuciła się do nóg generała i z płaczem wołała:

— Panie generale! Litości! Miłosierdzia nad naszemi dziećmi!

— Los tak rozstrzygnął, nie ja — odparł hrabia Montcalm, usiłując pokonać wzruszenie.

— Odejdź, żono! — zawołał teraz Bellegarde niby surowym głosem, który mu dziwnie wiązł w gardle — Odejdź, mówię!... Nie rozumiesz służby!... Przepraszam, panie generale, ale taki to już babski zwyczaj wszędzie swój nos wścibić. Ja jestem gotów; co służba to służba i basta! — to mówiąc, przytulił do siebie niemowlę i odprowadził na bok żonę, która ze łkaniem wołała ciągle zmiłowania.

Scena ta rozdzierająca serce, lubo uczyniła na żołnierzach silne wrażenie, to przecież znać po nich było, iż rzecz uważają za skończoną; takie to jest przywiązanie człowieka do życia.

Lecz wtem młody Gaskończyk, Tribard, który po wyciągnięciu losu żartował z Bellegarde'a wystąpił z szeregu, stanął wyprostowany przed generałem i, przykładając rękę do czoła rzekł:

— Ja nie mam żony i śmierć moja nie osieroci nikogo... sam jestem na świecie. Jeżli się to karności i służbie nie sprzeciwia, a pan generał pozwoli, bardzo chętnie zastąpię kolegę Bellegarde'a.

— Brawo! Brawo, Tribardzie! — zawołał hrabia Montcalm, ściskając rękę młodzieńca — Dzielny jesteś i szlachetny chłopak! Z radością daję moje zezwolenie. Odwaga zaś twoja daje mi pewność, że nie zginiesz na czacie.

— O, nie może być! — zaprotestował teraz żywo stary wiarus — Nie pozwól, panie generale! Choć pewny jestem, że to sprawa z czartem, przecie francuzki żołnierz i Lucypera bać się nie powinien i ja się też nie boję. Dziękuję ci, kochany kolego, za twoje poczciwe serce, ale przecie i mnie milszy honor, niż życie.

— Ani słowa więcej! krzyknął generał Montcalm — tak będzie, jak powiedziałem. Rozkazuję ci odejść: marsz!

Bellegarde mruknął coś pod nosem, bo zawsze musiał mieć ostatnie słowo, lecz wrócił do szeregu i stał wyprostowany jak trzcina.

Tymczasem Tribard salutując przed generałem, rzekł znowu:

— Ponieważ straż dzisiejsza jest biletem kwaterniczym do wieczności przeto śmiem prosić, pana generała, o dwie rzeczy.

— Mów! — odparł życzliwie hrabia Montcalm.

— Najpierw chciałbym wziąść ze sobą, zamiast tego ciężkiego muszkieta, mój lekki karabinek pirenejski, którym już niejednego niedźwiedzia i sporą gromadkę wilków pozbawiłem życia; bije on cudnie, nigdy nie chybi!

— Pozwalam — rzekł generał.

— Powtóre: ponieważ nie wiem w jakiej postaci zbliży się tajemniczy nieprzyjaciel, niech mi wolno będzie, do każdej podejrzanej figury dać ognia, bez odpowiedzialności za fałszywy alarm.

— Zgoda! Wszystko niech tak będzie, jak pragniesz — mówił hrabia Montcalm — A teraz idź się przygotować; do nocy zwalniam cię ze służby.

Wszyscy koledzy uważali Tribarda za zgubionego; a że był z niego wesoły i dobry chłopak, nad to uczynny i dzielący się ostatkiem z kolegami, przeto żołnierze jęli go szczerze żałować i wymawiać mu jego poświęcenie.

— Czy cię dyabeł skusił, Tribardzie — mówił jeden — poco ci szukać zguby? Byłbyś sobie spokojnie stał przed namiotem generała, a ty dobrowolnie leziesz do piekła.

— To i cóż?! Jeszczem tam przecie nie był, to ciekawy jestem — odparł wesoło dzielny Gaskończyk.

— A zresztą, czy to nie dobrze, że pójdę najprzód przygotować nam kwatery?

— Gadaj zdrów! — odezwał się inny — A ja powiadam, żeś się nie potrzebnie wyrwał. Bellegarde ma żonę i dzieci, dobrze! ale też nażył się już na świecie; tymczasem ty, co? Przed tobą całe życie stoi otworem...

— To może właśnie — przerwał z uśmiechem Tribard — szanowny Belzebub użali się mojej młodości i daruje mię zdrowiem...

— Licz, licz na czartowskie względy, a zobaczysz! — zawołał jeden z najstarszych żołnierzy — Już to darmo, Tribardzie, pocieszaj się jak możesz, lecz mnie cię serdecznie żal.

— I gdyby to przynajmniej można odnaleść jego zwłoki — dodał młody ochotnik — pochowalibyśmy cię z wojskowymi honorami: cała kompania dawałaby ognia nad trumną, bitoby w kotły i muzykaby rżła! Ach! jakby to pięknie było! Prawda, koledzy?!

— Prawda! prawda! — przywtórzył z zapałem drugi młodzik. — I krzyż postawilibyśmy ci, Tribardku, nad grobem z jakim pięknym napisem! Czekaj! Kto ułoży napis? Który z panów oficerów, lub nas jest do tego...

— O, mądryś ty! — przerwał trzeci młody ochotnik — Na czem krzyż postawisz, kiedy grobu nie będzie, bo ciała nie odnajdziemy?! Mój Boże! Ani uczciwego pogrzebu nie będziemy mogli wyprawić, naszemu kochanemu koledze! Jaki to smutny los żołnierza, bohatera! Czy jest drugi stan...

— A cichoż mi, wy smyki, żółtodzioby z mlekiem pod nosem! — krzyknął w najwyższej pasyi stary sierżat — Co to za bajanie jest, do milion bomb ognistych i kartaczy?! Te puszczyki, te kawki, te sroki skrzeczące mu pogrzeb wyprawiają?! Już oto krzyż stawiają na grobie! Patrzcież ich proroki!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Karły. Na obrazku w dzisiejszym numerze »Światła« na str. 473 widać Karła i Karlicę, siedzących w koszyczkach, postawionych na stole. Gdy staną na nogi, wtedy nie wiele są wyżsi, niż butelka, między koszyczkami stojąca. Chłopiec Fatma (z lewej strony), 14 lat liczący, mierzy 45 centymetrów; zaś dziewczynka Smaun (z prawej strony), 16 lat mająca, 60 centymetrów. Para tych Karłów pokazuje się obecnie za pieniądze, objeżdżając miasta cesarstwa niemieckiego.

Jakkolwiek klimat i inne przyczyny na wzrost ludzi w niektórych krajach ujemnie wpływają, to jednak człowiek nie mający 1 metra wysokości należy wszędzie do wyjątków. Kto jest niższy, tego nazywają Karłem. Zazwyczaj miewa taki człowiek jeszcze inne wady cielesne n. p. wielką głowę, albo maleńkie nóżki, nieraz także duchowe władze jego nie domagają. Lecz zdarzają się także Karły, których ciało i duch zupełnie prawidłowo są rozwinięte. Najmniejszy Karzeł, o którym mamy pewne wiadomości, mierzył 42 centymetry i żył 37 lat; Karlica Anna Teresa Sonbrey, urodzona w górach Wogezkich, była 86 centymetrów wysoka a dożyła 64 lat.

W dawniejszych czasach, gdy królowie i książęta na dworach trefnisiów czyli błaznów utrzymywali, używano Karłów do tego. Mieli oni obowiązek bawić pana, gdy był smutny, lub też gości jego, szczególnie przy stole. Piotr Wielki, cesarz rosyjski, lubił Karłów i miewał ich zawsze po kilku na swoim dworze.

W legendach i opowiadaniach wszystkich narodów wiele jest mowy o Karzełkach.

❁ ROZMAITOŚCI. ❁

* **Cła** w Polsce należały już w XI wieku do dochodu panujących. Miały nazwę »myto« (mito) z niemieckiego Maut. Pobierane zwłaszcza na rzekach spławnych, które w przeszłości były najważniejszemi szlakami komunikacyi krajowej. Królowie wydzierżawiali je lub obdarowywali niemi. Bolesław Śmiały czyli Szczodry pobierał cła na Bugu. Zdaje się, że znajdowane w korytach i na wybrzeżach rzek stare plomby ołowiane np. w Drohiczynie, sięgają niektóre doby piastowskiej. W w. XIII (r. 1238) istniały traktaty handlowe między zakonem krzyżackim i książętami polskimi. Cła czyli myto pobierane były najczęściej w naturze, np. od wozu soli brano sito soli od każdego konia; od wozu śledzi po 30 sztuk śledzi od każdego konia; od wina pobierano »naczynie.« Jako myto wymieniany jest także łokieć sukna szkarłatnego, grzywna czyli pół funta pieprzu i t. d. Cudzoziemcy płacili większe cło niż krajowcy i tak gdzie furman Polak dawał 3 kopy śledzi, tam Niemiec o połowę więcej czyli kop $4^1/_2$. Komory celne istniały w Poznaniu, Gnieźnie, Zbąszyniu i trakty do prowadzenia towarów były wyznaczone. W wieku XVI w samej Wielkopolsce istniało komor celnych 27. W roku 1317 Łokietek uwolnił Lublin od ceł na zawsze. Za Kazimierza Wielkiego ruch handlowy wzmógł się znacznie. Jagiełło w r. 1390 zawarł traktat handlowy z Hamburgiem, Lubeką, Rostokiem i wielu miastami nadbałtyckiemi. Portugalia i Hiszpania do budowy okrętów sprowadzały maszty z puszczy Białowiezkiej po Narwi, Wiśle i morzem. Gdy kupcy miasta Kaffy osady genueńskiej nad morzem Czarnem, prowadząc obszerny handel z zachodem Europy, towary swoje przewozili przez Lwów i Polskę, król Kazimierz Jagiellończyk w roku 1466 uwolnił ich od cła z wyjątkiem jednego tylko rodzaju towaru, którego widocznie nie protegował. Towarem tym byli niewolnicy, za których kupcom kaffejskim kazano opłacać po złotym ówczesnym cła od głowy. Handlu niewolnikami dawno nie było już w Polsce, kiedy kupcy europejscy mianowicie włoscy prowadzili go jeszcze. Niektóre wielkie miasta handlowe jak Kraków, Warszawa, Wilno, Lwów, Lublin, Jarosław itp. miały osobne ulgi celne. Cła całych ziem i prowincyi bywały najczęściej wydzierżawiane przedsiębiorcom, co dawało powód do licznych nadużyć i ucisków. Zła organizacya celnictwa była powodem, że Polska miała daleko mniej dochodów z cła, aniżeliby mieć była powinna.

✧ FRASZKI. ✧

* **Niebezpieczna rana.** W Berlinie żył lekarz, który, o ile dla biegłości w swym zawodzie w szerokich kołach był poważany, o tyle dla dowcipu bardzo się go obawiano. Pewnego razu kazał go do siebie w nocy wołać bankier Bauter z prośbą, aby co tchu przybywał, gdyż sobie rękę skaleczył. Lekarz wybierał się właśnie do niebezpiecznie chorego, ale ulegając prośbom bankierskiego posłańca i sądząc, iż skaleczenie może niebezpieczne, udał się do Bautera. Skoro przecież oną »niebezpieczną« ranę zrewidował, przekonał się, iż to było tylko zwyczajne zadraśnięcie. Aczkolwiek go to gniewało, iż dla tak błahej rzeczy go przywołano, nie okazał tego, tylko z najpoważniejszą miną usiadł do stolika i począł pisać receptę, a skończywszy, oddał ją lokajowi, surowo rozkazując, żeby co tchu spieszył do apteki i natychmiast z lekarstwem wracał.

— Na Boga, panie doktorze, — zawołał zbladły i drżący ze strachu bankier — przecie tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

— Właśnie, że grozi — odpowiedział sucho lekarz — bo gdybym temu cymbałowi nie kazał się spieszyć, to rana, nimby on wrócił, sama by się zagoiła.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 29-go Lipca 1897. Nr. 30.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląszku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Skarby podwodne.

Pewien statystyk obliczył, że na dnie samego tylko Oceanu Atlantyckiego spoczywają skarby, wartujące około 300 milionów franków. Ogromne te bogactwa dostały się na dno wskutek zatonięcia okrętów, na których odbywały podróże. Naturalnie straty takie dość są znaczne, więc państwa nadmorskie są zmuszone do utrzymywania specyalnych nurków, przeznaczonych do wydobywania zaginionych bogactw. W niektórych jednak wypadkach głębokość dna jest tak wielka, że zgruntowanie należy do niemożliwości z powodu ogromnego ciśnienia wody. W tych razach, naturalnie, skarby uważać należy za stracone, gdyż żadne siły ludzkie nie są w stanie ich wydobyć. Pierwszy fakt wydzierania dnom morskim zdobyczy znaczniejszej, dokładnie mamy zanotowany jeszcze w roku 1799. Rozbił się wtedy niedaleko Wfieland (Holandya) wielki okręt wojenny »la Lutine«, zabrany Francuzom przez Anglię, a wiozący olbrzymie skarby. Katastrofa ta zrujnowała wiele osób, naturalnie poczęto robić poszukiwania, lecz przy bardzo nierozwiniętej jeszcze technice przyrządów do nurkowania, rezultaty były bardzo nieznaczne. Dopiero w roku 1857 poszukiwania rozpoczęto ponownie z lepszym już skutkiem, gdyż uratowano w różnych czasach do dnia dzisiejszego około 2,500,000 franków. Pozostało jeszcze do wydobycia 25 milionów... Dotychczas, o ile wiemy, nikt nie kusił się o wydobycie 20 milionów franków w złocie, które poszły na dno w roku 1787 wraz ze statkiem »Harwell« podczas szalonego orkanu, przeciwnie zaś, wydobyto już prawie całość ładunku »Royal Charter« z rozbicia w roku 1895 w sumie 22 milionów franków.

Jest sporo ludzi, którzy się trudnią nurkowaniem. W Stanach Zjednoczonych nurków takich, specyalistów, opłacają za cztery godziny pracy do 75 fr. dziennie. Są jednak sezony »martwe« dla pracowników cechu podwodnego, w których muszą się oni trudnić innemi zajęciami, nic nie mającemi wspólnego z ich powołaniem.

Straszne bywają niekiedy opowieści nurków po powrocie na okręty z głębin morskich; istota ludzka wzdryga się na widok ryb, które kręcą się około ciał nieszczęśliwych ofiar. Pewien nurek zeszedłszy do maszyn zatopionego okrętu, znalazł mechanika, siedzącego na krześle, widocznie w tej pozycyi śmierć go zaskoczyła. Innym razem spostrzegł ducha zbliżającego się krokiem miarowym, naturalnie kazał się w tej chwili wyciągnąć, lecz kolega jego zaciekawiony wypadkiem, spuściwszy się, stwierdził, że to tylko odbicie własnej jego osoby w lustrze, umieszczonem przy wejściu do schodów, prowadzących do kajut.

Rzemiosło nurków jest zawsze trudne i niebezpieczne, lecz czasami daje piękne plony. Jeden z nich Kobbe, Amerykanin, podjął się wydobycia złota w sumie 200,000 franków, zatopionego w roku 1878 wraz ze statkiem »Thomas Russel.« Trzech nurków zginęło w tem przedsięwzięciu, lecz po upływie miesiąca Kobbe udało się wydobycie cennego kruszcu. Otrzymał za to 20 tysięcy franków. Innym razem znany nurek Sydney Cook wydobył za takież wynagrodzenie bogactwa, zatopione ze statkiem »Golden Gate« w Pacifiku. Jest skarb pewien, który nie daje spokoju nurkom wszelkich narodowości: mianowicie w r. 1870 zatonęła niedaleko New Yorku fregata angielska, »Hussar«, wioząca sumę 5 milionów fr. w złocie, pomimo jednak energicznych poszukiwań nie udało się jeszcze niko-

mu odnalezienia miejsca, gdzie spoczywa »Hussar«, a w nim upragnione miliony. Jednak nie sposób, by tajemnica »miejsca zamieszkania« tego statku, wobec ciągłych poszukiwań, na długo jeszcze pozostała nierozwiązaną i można mieć nadzieję, że te skarby będą odzyskane.

List dziecka do Pana Boga.

W chacie pewnego robotnika nader smutnie wyglądało. Wskutek bezrobocia i choroby zbywało na wszystkiem. Dzieci nie miały chleba na zaspokojenie głodu.

Najstarsza córeczka, która już do szkoły chodziła, wpadła na następujący pomysł dla sprawienia rodzicom ulgi i pociechy.

— Napiszę, — rzekła sama do siebie, — list do Pana Boga piękniejszy jeszcze jak zazwyczaj do mej chrzestnej piszę i odeślę. Wszakże ksiądz nas uczy, abyśmy się w smutku i dolegliwościach do Boga udawali, bo On, najdobrotliwszy nasz Ojciec, każdemu pomaga.

Pisze więc list nieszczędząc mozołu i plam i prosi w nim Pana Boga o zdrowie i pomoc dla rodziców, dla siebie i rodzeństwa o chleb. Zatem pobiegła szybko do kościoła św. Rocha. Ujrzawszy skarbonkę, do której wierni swe datki wkładają, pomyślała, że to skrzynka do listów do Pana Boga adresowanych. Zbliża się do niej, oglądając na wszystkie strony, czy też kto nie patrzy.

Wtem przystępuje dostojna pani, która właśnie co z kościoła wychodziła i zapytuje się dziewczyny coby miała za zamiar, że ten papier do skarbonki wkłada?

Dziewczę przestraszone rozpłakało się i smutne położenie rodziców opowiedziało, dodając, że na tym papierze napisała prośbę do Pana Boga, którą właśnie co chciała odesłać.

Miłosierna Pani pocieszyła dziecko i odebrała list z przyrzeczeniem, że go na przeznaczone miejsce odda.

— Ale — rzekła do dziewczyny — podałaś też dokładny adres, pod którym Pan Bóg by mógł ci dać odpowiedź?

— Tego nie potrzeba — odpowiedziało dziewczę, — bo Pan Bóg jest wszystkowiedzący, więc będzie także wiedział, że list ten ode mnie pochodzi.

— Tak jest w samej rzeczy, ale, moje dziewczę, Pan Bóg osobiście ci odpowiedzi nie przyniesie, tylko wyśle posła, który, nie tak jak On, wszystko wie.

Dziewczyna podała pomieszkanie rodziców i uspokojona odeszła.

Na drugi dzień stał przede drzwiami robotnika kosz z ubraniem i bielizną dla całej rodziny a i znacznej zapomóżki pieniężnej nie brakowało. Do kosza była przyczepiona kartka z napisem: »odpowiedź od Pana Boga.«

Tak więc list nie doszedł wprawdzie do nieba, ale Bóg obrał sobie ową panią za wykonawcze narzędzie swej najświętszej dobroci. List ów był także modlitwą ale piśmienną.

Jak strzedz się suchót?

Do najniebezpieczniejszych wrogów rodu ludzkiego, przeciw któremu medycyna dotąd nie zna środka ochronnego, jest gruźlica (tuberculosis), pojawiająca się w różnych formach i porywająca tysiące ofiar. Gruźlica jest w wysokim stopniu zakaźna, dla tego należałoby baczniej przestrzegać pewnych ochronnych przepisów hygienicznych, do których łatwo się zastosować. W roku ubiegłym kolegium lekarskie w Hamburgu zastanawiało się nad tą sprawą i powzięło szereg uchwał, które podajemy tutaj w streszczeniu z tego powodu, że gruźlica jest chorobą dość rozpowszechnioną, a mało kto zastanawia się nad tem, że choroby tej przez nieostróżność łatwo się można nabawić.

Oto uchwały i rady Kolegium lekarskiego z Hamburga:

1) Na gruźlicę umiera corocznie więcej ludzi niż na inne choroby; w Hamburgu samym przeciętna liczba ofiar gruźlicy wynosi na rok 1500 osób. Żadna choroba nie podkopuje tak bardzo dzielności i dobrytu ludzi, jak gruźlica.

2) Najczęściej zagnieżdża się gruźlica w płucach, jednak uderza także i na inne organy, jako to na gruczoły, kości, stawy i inne części ciała.

3) Choroba ta dostaje się do ludzi zdrowych przeważnie w dwojaki sposób: przez plwociny osób gruźlicznych (suchotników) i przez mleko krów gruźlicznych. Choroba występuje na jaw często dopiero po kilku miesiącach, a nawet po latach od chwili wtargnięcia zarazka do zdrowego organizmu.

4) Udzielenie się zarazka przez plwociny, wydarzyć się może bezpośrednio wskutek tego, że chory kaszle na osobę zdrową, częściej jednak w ten sposób,

że plwociny zasychają na podłodze, ścianach, sprzętach a potem w formie pyłu dostają się do powietrza, a z powietrzem wskutek oddechu do płuc. Narażone są pod tym względem szczególnie dzieci pełzające lub bawiące się na podłodze, dotykające wszystkiego i biorące do ust.

Niebezpieczeństwo przyjęcia się zarazka największe jest podczas chorób, u dzieci podczas odry i kokluszu. Także przez ranki wskutek zdarcia naskórka, wilgotnych wyrzutów skórnych i t. p., może dostać się zarazek gruźlicy do organizmu.

5) Ażeby zabezpieczyć od zarażenia się zdrowych plwocinami, powinny osoby kaszlące zasłaniać usta podczas kaszlu i spluwać do osobnych plwaczek (szklanych, wodą napełnionych i często wodą karbolową zmywanych). Chory nie przestrzegający tej wskazówki, naraża osoby najbliższe, rodzinę i służbę na zarażenie się.

6) W budynkach, w których przebywa wiele osób, powinny być ustawione w różnych miejscach plwaczki, zwłaszcza zaś tam, gdzie są suchotnicy. Plwaczki najlepiej napełniać wilgotnemi trocinami, proszkiem torfowym lub wodą. Trociny i torf należy od czasu do czasu spalić w ogniu lub wylewać do kanału.

7) Suknie suchotników, zanieczyszczone plwocinami, bieliznę, naczynia, należy starannie oczyszczać; najlepiej wygotować lub zdesinfekcyonować, sprzęty wrzątkiem zmywać.

8) Izby, w których przebywają suchotnicy muszą być utrzymywane we wzorowym porządku, powinny być często przewietrzane, pył usuwać należy częstem ścieraniem wilgotną ścierką. Do mieszkań po suchotnikach nie należy sprowadzać się, póki ich pod nadzorem władz najdokładniej nie zdesinfekcyonowano.

9) Osoby gruźlicze nie powinny sypiać w jednym łóżku z osobami zdrowemi; dzieci należy bezwarunkowo usunąć z izby, w której suchotnik przebywa.

W szkołach, urzędach, warsztatach przełożeni powinni nad tem czuwać, aby osoby suchotnicze przestrzegały przepisów pod liczbą 5 podanych.

10) Kobiety suchotnicze nie powinny dzieci karmić.

11) Gruźlica bydła jest dość rozpowszechniona, a nie łatwo ją poznać. Gdy zaś zarazki gruźlicze chorych na gruźlicę krów łatwo dostają się do mleka surowego, tylko gotowane.

12) Wyleczenie gruźlicy ma tem więcej widoków, im wcześniej chory odda się pod opiekę lekarską.

Rady powyższe są tak jasne i tak proste, że należałoby je jak najbardziej rozpowszechnić i skrupulatnie je wypełniać.

Praktyczne rady.

— **Przeciwko wilgoci i pleśni na murach.** Zalecają następujący środek. 93 części cegły sproszkowanej i 7 części glejty ołowianej (Plumbum oxydatum semivitreum) również sproszkowanej, po dokładnem zmięszaniu, zarabia się taką ilością oleju lnianego, aby otrzymać rzadkie ciasto. Masa pociągnięta na murze twardnieje po 3 do 4 dniach i nie przepuszcza wcale wilgoci.

— **Sprężysta warstwa, zabezpieczająca od rdzy.** Chcąc zabezpieczyć przedmioty stalowe, których części ulegają zginaniu, od rdzy, należy użyć mięszaniny zwykłego, nieoczyszczonego wosku i sproszkowanego grafitu. Wosk powinien być roztopiony i przy ciągłem mięszaniu wsypuje się do niego tyle grafitu w proszku, aby otrzymać dostatecznie gęstą masę. Przed użyciem masę, która się ścina, należy rozgrzać; rozprowadza się ją za pomocą pędzla, a następnie równa się miękką szczotką.

Rozmaitości.

* **Olbrzymi skarb.** Do warszawskiej »Gazety Polskiej« donosi korespondent z pod Krzemieńca: Trudno zaprzeczyć, aby okolica nasza nie obfitowała w ukryte skarby. Obecnie przychodzi mi zanotować odkrycie wielkiego skarbu w klasztorze w Poczajowie. O istnieniu skarbu wiedziano dawno, ale nikt nie mógł wskazać miejsca gdzie był zakopany. Tymczasem dokładne wskazówki chowały się w klasztorze w Podkamieniu (w Galicyi), a wypadkiem dowiedział się o nich przejeżdżający przez Podkamień fotograf K., któremu powierzono w klasztorze zdjęcia fotograficzne.

K., zasięgnąwszy pewnych i dokładnych wskazówek, udał się do Poczajowa i tu, z przełożonym klasztoru zrobił umowę, mocą której podjął się poszukiwań za wynagrodzeniem czwartej części skarbu, jaki odnajdzie. Roboty trwały kilka miesięcy, ze względu na to, że zabudowania klasztorne, murowane na gruncie, gdzie skarb miał istnieć, przeszkadzały robotom. Wreszcie natrafiono na trzy duże żelazne skrzynie, które z trudem wydobyto z ziemi. Po otwarciu skrzyń znaleziono mnóstwo wysokiej wartości klejnotów, starej zbroi nader kosztownej, broni nabijanej złotem i drogimi kamieniami, oraz gotówkę w starych polskich i holenderskich dukatach. O ile na razie można było ocenić, skarb przedstawia wartość przeszło półtora miliona rubli.

Poszukiwania dalsze prze-

rwano, gdyż mury budynków klasztornych silnie porysowały się i trzeba najpierw zabezpieczyć je, a następnie dopiero w dalszym ciągu prowadzić poszukiwania.

* **400 rocznicę wyprawy** Vasca de Gamy do Indyi wschodnich obchodzono w tych dniach uroczyście w stolicy Portugalii. Wyprawa ta była jednym z najdonioślejszych w skutki wypadków historycznych.

Już Bartolomeo Dias w roku 1486 dotarł do Przylądka Dobrej Nadziei, Krzysztof Kolumb w roku 1492 wylądował w San Salvador, a droga do Indyi jeszcze nie była znana. W celu odkrycia tej drogi król portugalski, Emanuel, postanowił wysłać wyprawę, złożoną z trzech okrętów, z osadą 160 ludzi, a dowództwo powierzył żeglarzowi Vasco de Gamie, szlachcicowi portugalskiemu, urodzonemu w Sines w roku 1469.

W dniu 8-go Lipca 1497 r., a więc czterysta lat temu, Vasco de Gama rozwinął żagle. Szczęśliwie okrążył Przylądek Dobrej Nadziei, zwrócił się ku północy wzdłuż wschodnich wybrzeży Afryki i w Marcu 1498 roku dotarł do Mozambiku, zamieszkanego wówczas przez Maurów, którzy prowadzili rozległy handel na morzach Czerwonem i Indyjskiem. Tu Vasco de Gama zachwycił języka, minął Quilon, Mombazę i dotarł do Melindy, gdzie po raz pierwszy Potugalczycy ujrzeli okręty przybyłe z Indyi.

W Melindzie Gama najmuje Indyanina z Guseratu, nazwiskiem Malemokana, i pod przewodnictwem tego doświadczonego sternika w d. 20-go Maja staje w Indyach na pobrzeżu malabarskiem, w przystani miasta Kalikut. Przyjęty nieprzyjacielsko przez tamtejszego króla Zamudrina, wkrótce wybiera się w stronę powrotną i we Wrześniu 1499 roku z 55 ludźmi, pozostałymi z załogi, wpływa do portu Lizbony, wioząc wieść radosną.

Droga do Indyi otwarta, otwarty kraj tysiąca i jednej nocy, nowy łup czeka Europę.

Niedługo Vasco de Gama, obdarzony tytułem admirała Indyi, spoczywa na laurach. Skoro przyszła wieść o wymordowaniu przez Malabarczyków załogi Pedra Cabrala, Gama wyrusza na powtórną wyprawę, prowadząc 20 okrętów i 800 żołnierzy. Po drodze zakłada osady w Mozambiku i Sofali, wchodzi w związek z królem Kotchinu, bombarduje Kalikut i zmusza króla Zamudrina do uległości. W roku 1503 z 13 przeciążonymi łupem otrętami wraca do Lizbony, gdzie czeka nań nowy tytuł hrabiego Vidigueira i wicekróla Indyi.

W trzeciej wyprawie jedzie objąć rządy swojego wicekrólestwa, które sprawuje z nadzwyczajną sprężytnością i energią. Umarł w roku 1524 w kraju przez siebie zdobytym; zwłoki zabrała wdzięczna ojczyzna.

Vasco de Gama był miernego wzrostu, muskularnej budowy ciała, o charakterze gwałtownym i okrutnym. Dzieje tego niepospolitego człowieka uwiecznił Luis Camoens w swojej »Luizjadzie,« której przekładu na język polski dokonał profesor Akademii krakowskiej, Jacek Przybylski, w książce wydanej w roku 1790 w Krakowie, u Jana Maja.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.